

SPRAWY OTWARTE

WILNO

20
GR.

DWUTYGODNIK • KULTURALNO • SPOŁECZNY •

Nr. 22 (43)

16—30 LISTOPADA 1938 r.

Rok II

WINCENTY MACKIEWICZ.

Na Zaolziu — zwyciężyła prawda

(reportaż bez patosu)

J. L. — towarzyszowi wyprawy.

Byłem tam akurat w miesiąc po historycznym rozkazie „Maszerować”, który otworzył grupie operacyjnej wszystkie mosty na Olzie, a wszystkim ramiona do uścisków i powitań, które jeszcze teraz są szeroko rozwarłe — dla wszystkich przybywających.

Byłem tam akurat w chwili — kiedy przyłączono do Polski nowe tereny w Tatrach i Pieninach — Jaworzynę, Łopaty Małe, Enklawę słowacką, Dolinę Białej Wody, szczyty Lodowy i Baranie Wody, akurat wtedy — kiedy wspólną granicę polsko-węgierską — odsuwano w Wiedniu — na odległość 50 załedwie kilometrów.

Ale to zaczęło się inaczej.

Już w Warszawie miałem to szczęście — że jechałem akurat pierwszym bezpośrednim wagonem Warszawa—Cieszyn Zachodni, ale ta bezpośredniość — trwała tylko do Dziedzic, dokąd nasz pociąg — przyszedł z półgodzinnym opóźnieniem, tak że pociąg cieszyński — nie chciał, zresztą zupełnie słusznie, czekać i odjechał bez wagonu warszawskiego. W Dziedzicach trzeba było rozmysłać o dziwnej ironii losu, która wytrąca niekiedy koleje z jej torów i — każe się dziwić pociągom, mającym aż takie spóźnienie.

Zresztą nie wszyscy — z tak filozoficznym spokojem — znosili tę filozoficzną ironię, były głosy, pełne oburzenia — które Bogu ducha winnych zwrotniczych — straszyły Ministrem Komunikacji, prawie — że samem piekłem.

Dalej już jechało się normalnie — częściowo koleją, częściowo autobusami.

Zanim wyruszyło się na właściwe Zaolzie — trzeba było wysondować nastroje Śląska Cieszyńskiego, wysłuchać — długich opowiadań o „historycznych” dniach i nocach, kiedy szosą Bielsko—Cieszyn, wspinała szosą asfaltową — waliły bez przerwy samochody wojskowe z przyćmionym fioletowym światłem, kiedy na lotnisku w Aleksandrowicach — stało w pogotowiu kilka wspaniałych eskadr, kiedy w takiej małej Jasienicy — nie można było spokojnie uczyć w szkole, bo wystarczyło — poważne mruczenie czołgów — idących naprzeciw w pobliżu szkoły — żeby wszystkie dzieci, a kto wie czy i nie pani nauczycielka — znalazły się przy oknie — i tak z geografii trzeba było czynić popularną lekcję militarystyki.

Słuchałem tych opowiadań z zainteresowaniem, odtwarzałem sytuacje niezwykle łatwo, tym łatwiej, że te zmotoryzowane kawalerie, brygady pancerne, treny samochodowe — spotyka się co krok — na Śląsku Cieszyńskim.

Tylko dobrze się wpatrzyć — a na tle pożółkłych opadających liści — w zagajnikach, w zabudowaniach gospodarczych — u stóp potężnego masywu Beskidu — niemal we wszystkich miejscowościach, położonych wzdłuż szosy Bielsko—Cieszyn — spotyka się oddziały wojskowe ze sprzętem doskonale ukrytym. Ile razy jedzie motocykl wojskowy

— tyle razy na tylnym siedelku — zobaczysz chłopca-Słazaka w wieku szkolnym. Jak się tam dostał? — W sposób najbardziej prosty — umył motocykl. Na stacjach kolejowych — potężne cysterny z benzyną, na szosach — ciągle jeszcze ruch pojazdów wojskowych — zwinnych łażników, doskonałych CWS, i dużych samochodów ciężarowych — na kolor ochronny pomalowanych.

Wiem, że jest już po wszystkim, że jesteśmy tu tylko — dla formy z tymi oddziałami wojska, tym niemniej — pewien procent tej grozy, tej siły, tej niepewności — która tu nabrzmiewała, rosła — udziela się jeszcze.

I choć naoczni świadkowie — opowiadają, że to już nic, że to spokój — to jednak, kiedy patrzę na kolumnę żołnierzy w czarnych beretach — ćwiczącą szyki w plutonach ciężkich karabinów maszynowych — na jednym z wniesień, kiedy widzę — naprzeciw przeorane bródzami gąsienic — błotniste, rozmiękłe pola, szerokie koleiny wyżłobione — samochodami, słup wjazdowy w bramie — prowadzącej na plebanie i do małego śląskiego kościółka — przetracony silnym uderzeniem samochodu, widocznie nieostrożnego kierowcy — czuję, że tędy — może nieco wyżej szczytami Beskidu Śląskiego — Białnią, Magórką, Skrzyczym, Stożkiem, Równicą — szła Polski najnowsza historia. powiew — silny jak wiatr halny.

To się czuje — zanim się zbliży do Cieszyna, to już jest w nastroju — który trzeba chwycić w autobusie pędzącym na złamanie karku przez Golezów — Skoczów, w którym wszystko — jedzie w jednym kierunku — na Zaolzie, w którym — tu odrazu poznać Ślązaków — niewiasta może stać godzinami, a nikt jej miejsca nie ustąpi, przeciwnie — co wrażliwsi panowie — umyślnie zamykają oczy.

Zresztą nie ma czasu patrzeć na to, co się dzieje w autobusie. Co chwila sygnalizują, że na szosie z prawej — oddział kawalerii —

sprawdzam — jest, że na szosie z lewej — jednostka — zmotoryzowana — sprawdzam, także jest, i tak co chwila. Kiedy autobus staje na rynku — w Cieszynie, przestajemy się dziwić, że widzieliśmy tyle wojska — czyniami się dziwić — że tyleśmy jeszcze nie widzieli.

A w Cieszynie — wschodnim — trzeba raz jeszcze sprawdzić nastroje, trzeba raz jeszcze się dowiedzieć — co oni o tym myślą. Nie robię tego w śródmieściu — tu wszystko jest zadowolone, bo wszystko dopiero co przyjechało — idę na odległy Bobrek — żeby z innej perspektywy uchwycić to jeszcze, z nieco dalszej.

Tu słyszę głosy raczej sceptyczne — tu się dowiaduję, że na Zaolziu brak wykwalifikowanych polskich inżynierów — którzy są potrzebni w Trzyńcu i Karwinie — do stalowni i kopalni, że źle jest z pszczelarstwem zaolzańskim — które tak dobrze rozwinięte — otrzymać ma zbyt małe normy cukru, i to nie wysoko wartościowego — na dokarmianie pszczół, że szwankuje komunikacja kolejowa, że jesteśmy raczej nieprzygotowani na przyjęcie — wysoko przemysłowo postawionej dzielnicy.

Nie chcę temu wierzyć — sam pojedź sprawdzisz.

Zresztą niezupełnie sam — lepiej jechać z tym, kto jest stamtąd — a tam jeszcze nie był, przeżyć w cudzych oczach — powracając radość.

Jadę z towarzyszem — który się urodził w Pietwałdzie, do szkół chodził w Orłowej, modlił się w Rychwałdzie, dzieckiem wprowadził wyemigrował — ale pamięta wszystkie legendy Fryszgradu i ma w oczach hałdy Karwiny.

Wprawdzie z długiego szeregu aut przed „Brunatnym Jeleniem” — pozostało już niewiele, niemniej z rynku w Cieszynie — od-

chodzą regularnie do wszystkich miejscowości Zaolzia — autobusy prywatne Molina, który sprowadził ponad 30 wozów z Poznańskiego i wszystkie rzucił na nową trasę, oraz autobusy Śląskich Linii Autobusowych — długie, wygodne wozy.

Kiedy wsiadam — wiem tylko tyle — że dojadę do Bogumina — tak mnie pali sama ciekawość odzyskanej ziemi, którą widziałem ze szczytu Beskidów — patrząc w dolinę Jabłonkowa i na przeciwległy szczyt Kozubowej — ale przed kilku laty.

Ale nie ma już czasu tego przypominać. Autobus odrazu rusza — jedzie wdół ulicą Legionów — przez chwilę widać wieżę Piastowską i pomnik Legionów — przed którym kilka winogron i skreca na most, historyczny most na Olzie, i zaczyna się dzielnica odzyskana, stara, piastowska — Cieszyn Zachodni — jasno oświetlony wreszcie, bez potrzeby pogotowia lotniczego — świecący nowymi tabliczkami ulic, nowymi sztydami. Mijając kawiarnię „Avinion” — myślę: to tu stały karabiny maszynowe — tu zaciągano czeskie placówki, a nieco dalej — jak mówią — schrony betonowe i zasieki. Nie chce się wierzyć, a trzeba wierzyć — bo już cały miesiąc „Polonia” — w Cieszynie Zachodnim — nie może pomieścić polskich oficerów i ludności cywilnej.

Tak było, a tak jest — jest ma silniejszą wymowę.

Za Cieszynem Zachodnim — autobus skręca na północ — na zachód zostaje Cierlicko, w którym wiem, że odbywają się w tej chwili uroczystości lotnicze — i jedziemy przez Olbrachcice, Stonawę, Darków — do Fryszgradu. Nie widzę zasadniczej różnicy krajobrazu, to samo pejzażowe przedłużenie Śląska z prawego brzegu Olzy, tak samo budowane gospodarstwa, tak samo ogródki przed domem — ale nie tak samo witają: wyraźnie widać — jak wybiegają z białych domów, żeby witać przejeżdżający autobus, i trzeba mieć długo odwróconą głowę — żeby dostrześć ciągle, radosne wymachiwanie ręką, i usmiech na rozjaśnionej twarzy. Dziwię się temu, że w miesiąc po tym historycznym dniu — zachowano część tego entuzjazmu, który już był. Przypominam jednak, że oczekiwanie na to trwało — 20 lat.

We Frysztacie — stoimy krótko — schludny rynek, zbudowany tak — jak w Cieszynie, wszystkie polskie szyldy, i te urzędowe — białe litery na czerwonym tle, i te prywatne. Dopiero wyjeżdżając dostrzegam obok polskiego: fryzjer, czeskie — golać.

Karwinę można poznać odrazu: kto widział Górny Śląsk, hałdy, zgrabne sylwety dźwigów i kominów szybowych — stalowe szkielety wysoko nad szosą rozwieszonych kolejek dojazdowych — jeszcze raz to wszystko zobaczy tutaj, i jadąc doskonałą szosą (większość dróg na Zaolziu — jest asfaltowa, albo z kostki kamiennej) — przestanie się dziwić, że ziemię odzyskane — to naturalne

(Dalszy ciąg na str. 2).

Jakby się nie sądziło o 20-leciu Niepodległości Polski: sceptycznie czy entuzjastycznie, aktualne są ciągle słowa Żeromskiego:

„NIE CIEBIE SIĘ BOJĘ, O WROGU! NIE CIEBIE SIĘ BOJĘ, ZEWNĘTRZNA POTĘGA, CO MIĘ STRASZNIEMI CHCESZ OGARNAĆ SKRZYDŁAMI, — GÓRY KAMIENNE NA PIERSI ME DŹWIGASZ I KRACZESZ NAD SERCEM ZŁOWIESZCZYCH WRON CHMURĄ.

CIEBIE SIĘ NIE TYLKO BOJĘ, LECZ LĘKAM, O WOLNA, O KRESU NIEZNAJĄCA DUSZO POLSKA. PRZED TOBĄ DRŻĘ, TY NIELACNA, KRNABRNA, SAMA SIEBIE SZALENSTWEM CHŁOSZCZĄCA, TY SAMEJ SOBIE NIEZNANA I NIKOMU NIEWIADOMA... OCH POLSKIEGO WYUZDANIA DUCHU, WROSŁY W SERCE, OJCOWSKI, WŁASNY — A OBCY, ROZIMY — A WROGI. NIE PRZED NAJEJŻDZĄ, DRŻY MOJE SERCE, LECZ PRZED WAMI, O SOBIE—PANY! KAŻDY Z OSOBNĄ WÓDZ, KAŻDY KRÓL, KAŻDY ZALEŻY TYLKO OD BOGA I OD SWEJ WOLI. Z KIM CHCE, ZAWIERA PRZYMIERZE; Z KIM CHCE, PROWADZI WOJNĘ, I GDZIE CHCE, SZUKA OJCZYŻNY...” (Duma o hetmanie).

20 lat Niepodległej Polski. Czy spełniono zadanie, które przed każdym stawiał Żeromski — jeszcze przed Polską niepodległą?

„MAM ZBUDOWAĆ Z NOWOCZESNYCH PRZEDSIĘWZIĘC NIEPODLEGŁOŚĆ WEWNĘTRZNĄ NARODU. MAM, JAKOBY SRUBĘ, ZMOCOWANĄ MUTRAMI, WWIERCIC W TEN NARÓD ROZLUŻNIONY, ROZLATUJĄCY SIĘ, JAK MOKRE MURY MEJ SZKOŁY, — TO HASŁO JEDYNE. MAM HASŁO NIEPODLEGŁOŚCI WPRACOWAĆ W TRUDY POLSKIE, ZAKŁAĆ WE WSZYSTKIE WYSIŁKI, MAM JĄ WSZEPTAĆ W SZTUKĘ NOWOCZESNĄ.” (Róża)

(Dalszy ciąg ze str. 1)

przedłużenie — gospodarce i krajobrazowe polskiego Śląska. Z szacunkiem — patrzę na gwarectwo, ośrodek patriotyzmu polskiego górnik, gdzie przy kufku piwa — gwarzyło się o swojackich sprawach. I dzięki górnikom, twardym pieronem — a nikomu innemu — może być dziś cała Karwina — zalepiona afiszami o wpisach do szkół polskich, które dają tak świetne rezultaty, które pozwoliły w następnej zkolei — Orłowej otworzyć drugie już polskie gimnazjum.

W Orłowej — mój milczący towarzysz — który tylko na moje pytania dawał wyjaśniające odpowiedzi, ożywia się i sam zaczyna opowiadać — tłumaczy kędy chodził do szkół, jak dojeżdżał — może tymi samymi tramwajami — które z zamalowanymi czeskimi napisami — już się wloką — wzdłuż linii kolejowej i szosy, pokazuje ręką — na Pietwałd w którym się młodość górna zaczęła, ścisła silnie za rękę — kiedy przejeżdżamy obok kościoła w Rychwałdzie — na którym do niedawna zdobił fronton napis czeski — „Prawda premo hla” — teraz już całkowicie wymazany, a który zastąpi już polski — „Prawda zwyciężyła”.

I kiedy mój towarzysz tonie we wspomnieniach — najdroższych, bo dzieciennych i czytam na twarzy jego — wewnętrzną radość z ujrzenia, z powrotu — do swojej kolebki, w której kofysały go dzwony polskich świątyń — przypominam jego słowa przedtem wypowiedziane, jego obawy o to, żebyśmy w historycznych chwilach — nie zaprzepaścili momentu — uporczywie wracają przed oczy — ten wyarty czeski, i świeży polski, w zieleni przybrany napis — „Prawda zwyciężyła”.

Mimowoli staje się oczywiste, że nie materia, nie armia, nie bagnety — ale zwyciężyła prawda, niematerialna konieczność — sprawiedliwości, równowaga dobra i zła, przemocy i cierpienia.

Na Zaolziu — zwyciężyła prawda.

Kiedy dzielę się tymi uwagami z towarzyszem — mijamy Zabłocie i po tych kilku dziesięciu torach kolejowych — które odsłaniają się nagle jak stalowy, a jakże wymowny, wachlarz poznaje, że wjeżdżamy do Bogumina.

Chcę poznać przede wszystkim Bogumina — Dworzec, na miarę europejską węzeł kolejowy — i na szczęście przy samym dworcu staje autobus.

Miasto jest raczej ponure, źle oświetlone (może jest tu jeszcze pogotowie łubiniczne?) — duże czerwone budynki mało ludzi, minimalny ruch, większość wystaw sklepowych — zamknięta.

Ale przede wszystkim dworzec: na peron wchodzi się jeszcze bez biletu, może długo się jeszcze będzie wchodzić — skoro do najbliższych stacyjek bilety wypisuje się jeszcze, oblicza się w koronach, przelicza się na złote polskie czy grosze. Tunel — jak w Wilnie — i potem wyjście na perony — znów szeroki wachlarz torów. Przyglądam się — czy na którymś z torów nie zobaczę niemieckiego pociągu pancernego — który podobno był w Boguminie, co — kiedy musiał się obejść smakiem — bo Bogumina był już obsadzony przez wojska polskie. Pociągu pancernego niema — ale są osobowe polskie odchodzące stąd dosyć często do Cieszyna Zachodniego, a nawet do Warszawy — ale prawie wszystkie z opóźnieniem. Wiem napewno, bo sam jechałem takim pociągiem, że pociągi ze stacji początkowej — Cieszyna Zachodniego — odchodzą z półgodzinnym opóźnieniem, że prawie połowa pasażerów nie ma biletów — bo do jednej kasy — są długie ogonki, tak, że po tym trzeba — starać się o te bilety w Góleszowie czy Skoczowie — ale też trzeba widzieć te długie tabory kolejowe, wypełnione tak szczelnie ludźmi — że się wsiada do tych wagonów bez jakiegokolwiek nadziei znalezienia miejsca.

Ale wracajmy do Bogumina — jest to naprawdę piękny węzeł kolejowy, ale znów sceptyczna myśl podsuwa uwagę — czy tych kilkadziesiąt pociągów pośpiesznych, które stąd odchodzą we wszystkie strony — nie ograniczy się do kilku. Miejsmy nadzieję, że nie. W hallu dworca — o dziwo wisi plakat turystyczny — reklamujący Wilno. Tak — w Boguminie — Wilno; jestem mile zdziwiony, zwłaszcza, że i kiosk ruchu — działa bez za-

rzutu. Nie dziwię się, że nie ma czeskich papierosów, nie ma ich zresztą — i właścicielka trafik tytoniowej — Czeszka, która z zadowoleniem podkreśla — że polskie widokówki są droższe od czeskich, a w tym „to mamy od was” — czuć i satysfakcję, i żal, i zawód — bo sprzedaje na tym samym miejscu, za tą samą ladą — polskie papierosy, zapaliki i gazety, kiedy przed miesiącem — ani się jej to matrzyło.

Na ulicy spotykam jeszcze jedną Czeszkę — która mnie zresztą źle informuje — o drodze na rynek, tak, że w małym Boguminie — błędę prawie; zresztą dobrze, że błędę — bo stwierdzam przy okazji — że wiele się słyszy mowy niemieckiej na ulicach, że Pia-secki z swoją czekoladą — zdążył już wypełnić większość wystaw w Boguminie, że najczęściej spotykanym tu, i na całym Zaolziu napisem — jest „Jechać prawą stroną”. Ilustrację do tego napisu — mam zresztą zaraz, kiedy polski policjant — regulujący ruch — nie może się uporać z rowerzystą, który smaruje lewą stroną — tak, że trzeba go z roweru zsadzić. Trudno — w Czechosłowacji się jeździło lewą stroną, w Polsce — trzeba jeździć prawą, i to jest różnica — która się od razu rzuca w oczy.

Jeszcze kilka rzutów okiem tu i tam, jeszcze jeden papieros — o którego dopomina się jakiś pięcioletni smark w polskim języku, którego zresztą nie dostaje i trzeba wracać, ale już z silnym przeświadczeniem, że warto było o to walczyć, o tych ludzi, o kraj, o kulturę, o przemysł.

W duszy jest jaśniej — niż w Boguminie, jest tak jasno — jak w Orłowej, którą wypada mijać wieczorem — a która jest rzęsiście wspaniale iluminowana, na chodnikach, ulicy — pełno ludzi, przed kinem — zator — wesół gwar i śmiechy, i samotnie spacerujące pary — Ślązaczki i żołnierze, już nie w hełmach, a w furazerkach.

Na Zaolziu — w poszczególnych miejscowościach — kompleks spraw gospodarczych, politycznych i wszelakich innych, — stara się rozwiązać 30-tu kilku komisarzy rządowych, którzy od rana często do późnej nocy — pełnią swoje obowiązki honorowo.

O wielkiej ilości tych spraw — o zorganizowaniu szkolnictwa, o załatwieniu spraw uciekinierów czeskich — opowiada w rozmowie komisarz rządowy w Dzieńmorowicach — p. Bartczek. Słucham — z uwagą — jak to członkowie „narodni gardy”, sokolice czeskie, członkowie innych czeskich szowinistycznych organizacji — tam właśnie w Dzieńmorowicach przysięgali — że zanim odejdą — trupem położą kilku Polaków; nie dziwię się tedy, że komisarz rządowy — chodzić musi z rewolwerem w kieszeni dla własnej obrony — skoro nicwyrażny element — w dalszym ciągu ciągu nosi z czeskiej strony ulotki, skoro — w kilku napada się na bezbronną kobietę — tak, że żołnierz polski — odprowadzić ją musi aż do Zawady.

Nie przerywam i nie oponuję — kiedy słyszę, że największym czechofilonem z pośród Polaków każe się — usuwać czeskie napisy w polskiej szkole, popiersie Masarvka — z pozostawieniem postumentu — który się przydać przecież może — pod polski pomnik.

Nie było tu bezpiecznie — skoro jeden z piękniejszych gmachów — murowanych należał całkowicie do komunistów, a dziś opuszczony, pozostawiony całkowicie na łaskę losu — jest własnością niczyją, nikt się do niego przyznać nie chce.

Jak szlachetnie — wypada na tle czeskiego księdza, szowinisty i czechizatora — który z nieszczerym płaczem opuścić musi Dzieńmorowice, Słowaczka z kilkorgiem dzieci, która z radością, z niespotykanym — jak opowiada p. Bartczek — optymizmem — podejmuje się iść pieszo — aż do Słowacji, a nie ma słów uznania — kiedy otrzymuje kilka złotych na przejazd, dziwi się mocno dobroci ludzkiej — i z uśmiechem opuszcza siedzibę komisarza.

Długo, długo jeszcze — słuchałem opowiadania komisarza — o drobnych zdawałoby się sprawach, które wymagają jednak i taktu, i znajomości terenu, i bezwzględności, i zdecydowania, i honoru.

Rzeczpospolita przecież — jest gospodarzem na Zaolziu.

„Sprawy Otwarte” o wydawnictwach

DROGA DO DAUGIEL.

Dotychczas kresy nasze rzadko pociągały i pobudzały wyobraźnię powieściopisarzy. W najlepszym razie doszukiwano się egzotyki, któraby stanowiła odpowiednie tło do awanturnicznych przygód wykoncypowanych bohaterów. Tak było np. z powieścią Dzikowskiego p. t. „Rok życia”. Fantastyczna afera szpiegowsko-kryminalna z równym powodzeniem mogłaby się odbywać pod każdą inną szerokością geograficzną. Sprawy istotne, sprawy dotyczące głębi bytowania ludu na tych ziemiach — pozostawały odłogiem.

Sergiusz Piasecki, utalentowany malarz minionego życia pogranicza, w swoich ponurych obrazach nie szczędzi realizmu, ale niepodzielnie wtopiony w specyficzną atmosferę przestępstwa i zbrodni daje wizerunek skrzywiony i połowiczny. Opowiada tylko o nizinach życia ludzi stojących poza nawiasem prawa i społeczeństwa. Trudno więc przypuszczać by jakikolwiek inteligentny czytelnik zechciał na podstawie opowieści S. Piaseckiego doszukiwać się prawdy kresowej rzeczywistości.

Ten dotkliwy brak, fragmentaryczność w całości obrazu naszych ziem — usunęła niewątpliwie mocna i pełna wyrazu książka Zofji Bohdanowiczowej p. t. „Droga do Daugiel”.

Od pierwszych stron książka Bohdanowiczowej ujmuje i pociąga. Jest w tej powieści dużo prostoty, a nawet prymitywu, który pochlebnie świadczy o dużym umiarze artystycznym autorki. Sprawy ludzi i ziemi pięknie ze sobą współgrają, stwarzając osobliwą harmonię odczuwania i zdarzeń. Życie w tym kącie Polski, pod niebem niskim i surowym, na ziemi żywicieli nie zawsze łaskawej — upływa w pozornej ciszy i półtrwaniu w cieniu opiekuńczych krzyżów przy drogach. Ale tak może myśleć tylko powierzchowny obserwator — autorka umie popatrzyć, umie dotrzeć do najszybszych myśli i pobudek czynów swoich bohaterów.

Banalne w zasadzie dzieje nieszczęśliwej miłości Waruśki do chciwego Wincuka posłużyły Bohdanowiczowej do ukazania całego bogactwa doskonałych typów ludzi tutejszych w osobach przedstawicieli dwóch skłóconych zaścianków przy drodze do Daugiel.

Jan Szolma — surowy ojciec Waruśki, pan Michał — niegdyś dziedzic, obecnie „człowiek boży” kochający franciszkańską miłością „wszystkość” tej ziemi, pokutnica Elżbieta, parobek Bałtruk i wielu innych — to wszystko nasi starzy znajomi, których poznaliśmy i poznajemy każdego roku, gdy opuścimy wileńskie rogatki. Ich kłopoty, zmartwienia, nikłe radości i wesela ujmują za serce i każą nadsłuchiwać tętna mocnej, żywej a tak mało znanej krwi autochtonów ziem pomiędzy Niemnem a Dźwiną.

Są też i problemy. Problem granicy, która przecięła drogę do Daugiel stanowiącą niegdyś naturalną więź ze światem nie tylko w sensie materialnym, ale i duchowym, urasta do rozmiarów jakiegoś nielitościwego fatum. Rozpętała uczucia nienawiści i obcości wśród

*) Zofja Bohdanowiczowa „Droga do Daugiel”. Powieść wyróżniona I-szą nagrodą na Konkursie Jubileuszowym Księgarni Św. Wojciecha. R. 1938.

Do tego kompletu narodowości — z którymi się zetknąłem na Zaolziu Czesci, Niemcy, Słowacy — doszły jeszcze w Cieszynie dwie Rumunki. Obładowane tobołami — w których związane niosą od domu do domu — firanki i dywany — opowadają o ciężarze życia, o trudnych warunkach bytowania — które ich aż tu rzuciły; jutro wracają do Bukaresztu.

Żeby już pełnym był kompleks zagadnień politycznych — w orbicie których się Polska obraca — spotykam w pociągu Warszawa — Zemgale — młodego Węgra malarza, który jedzie do Finlandii, a po tym Szwecji i Norwegii — i obładowany budapesztańskimi gazetami — przekonuje mnie o tym, w co sam tak mocno wierzę — o potrzebie wspólnej granicy — polsko-węgierskiej.

Kiedy żegnając się z nim w Wilnie uściskiem ręki i okrzykiem „Elien Madziar” — nieoczekiwanie przypląta z mroku — wypisana na frontonie kościoła w Rychwałdzie maksyma: prawda zwyciężyła, i do poprzedniego sformułowania — Na Zaolziu zwyciężyła prawda, dodaję nowe — w Werchowinie prawda zwycięży.

Wincenty Mackiewicz.

ludzi, którzy byli sobie braćmi. Nie może tego zrozumieć Jan Szolma, a pan Michał inaczej chce przechodzić ducht graniczny, niż to czyni Wincuk i dlatego ginie niepotrzebnie. Umierając, zamglonym wzrokiem patrzy w niebo i nie może nadziwić się, że ludzie tak bardzo nienawidzą się, gdy przecież niebo i drzewa nad nimi są te same.

Może warto byłoby przełożyć tę powieść na litewski, może byłaby bodaj najmniejszym a tak potrzebnym ogniwem spawającym ciągłe utrudnione stosunki sąsiedzkie.

Proza „Drogi do Daugiel” zdecydowanie piękna. Nadmiar metafor nie nuży, ale uplastycznia kalejdoskopową zmienność pór roku i urody natury. Świetne, jak zawsze, fotografie mistrza J. Bułhaka snadnie książkę ożywiają.

W konkluzji książka naprawdę warta czytania i pierwszej nagrody w plebiscycie czytelników zorganizowanym przez Konkurs Jubileuszowy Księgarni Św. Wojciecha.

Czesław Grabowski.

Kurt Forstrenter. Preussen und Russland im Mittelalter. Die Entwicklung ihrer Beziehungen vom 13 bis 17 Jahrhundert. Ost-Europa-Verlag, Königsberg (Pr.) und Berlin. 1938. Str. X + 272.

Wśród ogromnej ilości prac, odnoszących się do dziejów Zakonu Niemieckiego odczuwać się daje brak dzieł o charakterze syntetycznym. Ma nauka niemiecka i polska szczególnie monografij szczegółowych i kilka zarvsów o charakterze podręcznikowym, ale niema opracowań, dających wyczerpujący pogląd na całokształt problemów, które obejmują dłuższy przeciąg czasu. Dlatego z tym większym uznaniem podkreślić trzeba udaną na ogół próbę przedstawienia stosunków prusko-ruskich, jakiej w w/w dziele podjął się H. Forstrenter, wybitny znawca zagadnień związanych z terytorium dzisiejszych Prus Wschodnich.

Drukowana alfabetem łacińskim — rzadkość w latach obecnych! — i pięknie przedstawiająca się zewnętrznie książka historyka niemieckiego omawia problem prusko-ruski po r. 1640 t. zn. po czasy nowożytnie. Przesunięcie tak daleko granic średniowiecza (w tytule zaznaczono „im Mittelalter”) tłumaczy autor tym, iż dla Prus trwa ono właściwie do r. 1525, dla Moskwy zaś aż do czasów Piotra Wielkiego. Na całość składają się przedmowa, 13 rozdziałów, dodatek, zawierający pismo carskie z 1. III. 1520 oraz książęce Albrechta z 26. VI. 1546 i krótka charakterystyka literatury i źródeł. W tym ostatnim urywku b. surowo została skrytykowana literatura historyczna polska, czego dowodem może być opinia o W. Pocięchy „Genezie hołdu pruskiego”: die sehr eingehende, zusammenfassende, nicht neues Material bebringende Arbeit” (str. 271).

Przewidująca polityka Krzyżaków od chwili ich pojawienia się na Pomorzu zwracała baczną uwagę na sprawy ruskie, co było rzeczą wielkiej wagi przy ciągłym naprężeniu stosunków polsko-litewsko-krzyżackich. Jakkolwiek sporo komplikacji wynikało z różnic wyznaniowych — przede pomoc Nowogrodu czy Pskowa stanowiła dostateczną rekompensatę za zarzuty łączenia się ze schizmatykami. Kontakty z państwami ruskimi nie ustają i po sekularyzacji r. 1525 aż nowa epoka, która nastąpiła z objęciem rządów Wielkiego Elektora (w r. 1640) i na tym odcinku wprowadzi pewne zmiany. Rozdz. IX—XIII obejmują kwestie gospodarcze i kulturalne.

Ciekawa i oparta na rzetelnym wyyskaniu źródeł i literatury praca dr. Kurta Forstrentera stanowi wielką pomoc dla badaczy problemów krzyżackich które jeszcze dotąd w nauce polskiej nie zostały dostatecznie przeanalizowane. Ambicją więc naszej historiografii winno być dorównanie i prześcignięcie nauki historycznej niemieckiej.

Józef Gil.

Czytajcie „SPRAWY OTWARTE”

„SPRAWY OTWARTE” DO NABYCIA
W WARSZAWIE W KIOSKACH
I W KSIĘGARNIACH KOLEJOWYCH
„RUCH”.

LUDWIK LEW.

NOWE GRANICE POLSKI

W DWÓCH RZUTACH zarysowały się tej jesieni nowe linie graniczne Polski: 1 października Czesi zwrócili zagarniętą przed 20 laty część Śląska Cieszyńskiego; 1 listopada ogłoszono ostateczną regulację granic z Czechosłowacją, decydującą o losie spornych ziem w Beskidzie i Tatrach. Dokonała się rzecz wielkiego znaczenia — ukształtowała się krawędź południowo-zachodnia, obejmująca najważniejsze ośrodki Polski. rewir przemysłowy Śląska i stare ognisko kultury, ziemię krakowską. Jak przed 20 laty kwestja granic na Pomorzu i Mazowszu Pruskim miała związek z naszym dostępem do morza, tak obecnie nowe granice powinny być dać nam mocne oparcie o drugą naszą krawędź naturalną: o góry.

Co nam przyniosły te rozwiązania? Jaka stworzyły sytuację na tamtych, górskich kresach?

NA ŚLĄSKU. Nowa granica Cieszyńskiego nie budzi większych wątpliwości. Dwa nowe powiaty śląskie obejmują całość geograficzną i niemal że całość terenu spornego, na którym istniało życie narodowe polskie. Wróciła więc do Polski cała dolina Olszy, z górską kotliną Jabłonkowską, z odciętą połową Cieszyna, z zagłębieniem Karwińskim. Punkt ciężkości ekonomiczny całego kraju, w oje w ó d z t w o Śląskie wzmożło się materialnie i moralnie, szerzej oparło się o góry i o brzeg O d r y, powiększyło swój obszar przemysłowy; z potężnym węzłem Bogumina, (dawniej największego dworca Austrii i Czechosłowacji) przeszedł w nasze ręce klucz do bram w dolinę Dunaju, do Bramy Morawskiej i do Przełęczy Jabłonkowskiej. Na linii od Bogumina do Krakowa znalazła się w naszych rękach arcyważna dolina, którą pójdzie wielka droga wodna Wisła—Odra—Dunaj. Podniesie to ogromnie znaczenie Krakowa i Śląska, zapoczątkuje centralną, ogniskową rolę Polski w Europie.

Nowa granica Śląska objęła niemal w całości obszar narodowy polski tych stron. Został poza nią teren ludności t. zw. łaskiej, polskiej z pochodzenia i z podstawy językowej, ale podbitej przez wpływy czeskie. Została poza Polską graniczna dawniej rz. Ostrawica, a z nią ognisko przemysłowe m. Polskiej Ostrawy i przyległe miejscowości polskie: Grusów z wielkim przemysłem chemicznym, górnicze Michałowice, Hermanice, Radwanice, pamiętne z ciężkich walk z Czechami o szkołę polską. Bez plebiscytu wyrównano pod względem etnicznym zachodnią granicę pow. Cieszyńskiego. Przesunięto na korzyść Polski granicę na grzbiecie Ropicy koło Lgoty, zostawiając jednak poza Polską najwyższe w tych stronach szczyt Beskidów — Górę Łysą. Na koniec — również w interesie Cieszyńskiego — przesunięto nieznacznie granicę poza przełęcz Jabłonkowską, uzyskując tą drogą połączenie kolejowe Cieszyńskiego z rozległą kotliną Żywiecką, stanowiącą niegdyś część Śląska.

W nabytkach na terenie Śląska ujawniła się dążność do scalenia i zaokrąglenia arcyważnej dzielnicy, wywikłania jej z terenów spornych, a zespolenia z całością kraju.

GRANICA GÓRSKA oczekiwała również regulacji w związku z sytuacją obecną. Należy pamiętać, że obie nasze granice naturalne i góry, i morze zostały przez Polskę osiągnięte w sposób bardzo niedostateczny. Tu i tam zabory obce zepchnęły Polskę z jej naturalnego oparcia i wytworzyły stosunki graniczne niesłychanie wadliwe, otwierające drogę do następstw fatalnych. Brak dbałości dawnych rządów polskich o zasiedlenie i obronę gór sprawił, że większą część łańcucha Karpat zajęła (pod rządami polskimi) ludność raska i zruszczona wołoska, a Karpaty Zachodnie, kolonizowane przez Polaków, stały się łupem Węgier, później Czech. Przy Polsce utrzymały się fragmenty krain górskich, objęte linją powyginaną, w znacznej mierze sztuczną, zgoła nie osłaniającą kraju. Zabory węgierskie wdarły się wgłąb masy gór polskich

trzeba głębokimi wrębami, podobnymi do zatok. Są to kraina Czadecka, Orawska i Spiska.

ZNACZENIE TYCH KRAIN polega nie na ich rozmiarach — są one raczej drobne — ale na okoliczności; że dają one wyrównanie i zespolenie etniczne naszej dzielnicy górskiej, że wyprowadzają nas z zimnych zboczy północnych na słoneczne, otwierając tereny lecznicze, ćwiczebne i turystyczne, dla zdrowia narodowego nieodzowne. Dla Słowacji, tak bogatej w góry i uzdrowiska górskie, tereny te nie mają większego znaczenia i w porównaniu z ustępstwami, poczynionymi Węgom, stanowią cząstkę znikomą. Dla nas są one częścią naszego obszaru narodowego i to częścią, niczem nie dającą się zastąpić. Ich utrata kalecty straszliwie naszą granicę górską i pozabawia nas tego wszystkiego, co w górach naszych jest największe i najwartościowsze.

OKRĘG CZADECKI jest częścią Śląska Cieszyńskiego, od którego został oderwany w pocz. wieku XIX. Jest to kotlina górską, połączona z Cieszyńskim przełęczą Jabłonkowską, a odgródzona od Słowacji pasmem górskim Jawornika. Wciśnięta w zagłębienie między Cieszyńskiem a Żywieckiem, jest ich uzupełnieniem i łącznikiem geograficznym. Jest także ich uzupełnieniem etnicznym. Uczeń czeski uznali ludność 13 wsi, otaczających m. Czacę, za polską. Z tej liczby zostały obec-

ny Żywiecki. Z tej liczby „Sąd Salomony” mocarstw przyznał Polsce przed 18 laty połowę, z drugiej połowy zrezygnowała dyplomacja polska obecnie. Zrezygnowała całkowicie, zostawiając w obcych rękach Rabczycę, skąd przed 18 laty wyszedł bohaterski obrońca polskości tej ziemi, Piotr Borowy, poeta i mistyk, postępujący do Wilsona, by uzyskać przyłączenie swej ziemi do Polski. Zostały w rękach obcych stoki Babiej Góry z uzdrowiskiem Półhora, z niezmiernie ważnym szlakiem, łączącym Podhale z Żywiecczyną i Śląskiem. Słoneczne stoki Beskidu zostały dla Polski stracone, stracone Tatry Zachodnie, stracony drogocenny lud górski, którego twórczość artystyczną opracowuje się w polskich monografiach.

KRAINA SPISKA stanowi w tym poczcie strat świeżych Polski pozycję najznaczniejszą. Jest to dzielnica, wypełniająca dolinę Popradu, oddzielona od Słowacji pasmem Braniska, przytulona do podnóża Tatr Wysokich, obejmująca Tatry Bielskie; na północy posunęła się ona aż do Dunajca i objęła część najpiękniejszą Pienin. Tu na starym szlaku handlu krakowskiego powstały bogate miasta, zakładane przez Piastów, — zdobione przez sztukę krakowską. Piękny i bogaty kraj, ożywiony przez handel i górnictwo, ścigał napływy różnych pierwiastków etnicznych — Niemców, Węgrów, ruskich Łemków, co jednak nie

zwrotnym momencie życia narodowego, jedyna wieś górską, jaką przylegała Polska do Tatr, stała się głównym, obok Krakowa, ośrodkiem narodowego życia.

Póki istniały Austro-Węgry, a z niemi swoboda wędrowek dookoła Tatr, nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo daliśmy się z tych naszych gór wywłaszczyć. Dopiero spór z Węgrami o Morskie Oko, proces, w którym w obronie praw Polski wystąpił Osw. Balzer, odsłonił nam szczupłość naszego stanu posiadania, sprzeczną z naszymi prawami historycznymi i etnicznymi. Rozkład Austro-Węgier wysunął na porządek dzienny sprawę odzyskania polskich ziem podtatrzańskich: krainy Spiskiej i Orawskiej. Sprawę oświetliła bogata literatura*) naukowa i popularna, praw polskich broniono na miejscu i w Paryżu. M in. wyjechał do Paryża gorliwy obrońca ziem górskich, ks. Ferdynand Machay rodem z Orawy, w towarzystwie górali Piotra Borowego z Crawy i Wojciecha Halczyńskiego ze Spisza. Gdy mocarstwa, forytując Czechów, oddały bez plebiscytu większość terenów spornych, cały kraj odczuł to jako krzywdę dotkliwą. Krzywda ta uwydatniła się jaskrawo w stosunkach powojennych, gdy kraj z ogromem swoich potrzeb w zakresie uzdrowisk, sportu, turystyki, wychowania fizycznego młodzieży, znalazł się zamknięty w wązkim korytarzu Zakopanego, miejscowości przeludnionej, przepełnionej choremi, oszpeconej budownictwem miejskim, kolejkami linowymi etc., gdy obliczono, że z obszarem Tatr Polska posiada tylko 163 kilometrów kwadr., i to część najgorszą, bez dostępu do Tatr Wysokich, bez słonecznej strony, nawiedzana przez wiatry halne, nieprzydatną dla celów leczniczych, gdy mała Czechosłowacja, tak bogata w uzdrowiska, otrzymała 502 kilometrów kwadr., czyli 3/4 powierzchni Tatr z ich stroną słoneczną, z mnóstwem pięknych letnisk, z zabytkami polskiej przeszłości i żywym zabytkiem ludu polskiego, który jest dla nas główną wartością i tytułem naczelnym do posiadania tych gór przez Polskę.

Dziś, gdy w 20 lat po rozpadnięciu się Austrii rozpada się Czechosłowacja, ogół polski spodziewał się, że krzywdzący podział zostanie usunięty, a granica górską, tak ważną, tak pożądaną, ulegnie naprawie. Świeżo ogłoszone decyzje przyniosły opinii narodowej bolesny zawód. Dwie trzecie Tatr (413 km² z 665 km²) pozostawiono nadal w posiadaniu Czechosłowacji: Tatry Bielskie, Tatry Zachodnie, cała słoneczna strona Tatr, dostęp do Tatr Wysokich, najwspanialsze krajobrazowo, najcenniejsze dla lecznictwa, tereny. Drobne poprawki graniczne nie zmieniają wadliwości obecnych granic, uposledzenia Polski na obszarze gór polskich. Najpiękniejszy kraj Polski i najcenniejszą część jej ludu podarowano państwu, które wywzajemnia się nam organizowaniem gruntu dla dywersji w Karpatach Wschodnich. Zdumiewającą wspaniałomyślność dyplomacji polskiej motywowano względami na wrażliwość narodową Słowaków. Nie znając istotnych motywów rezygnacji polskiej, stwierdzić należy, że decyzja obecna obeszły się w sposób bezwzględny z uczuciami narodowymi i żywotnymi interesami społeczeństwa polskiego. Z pośród rewindykacji dokonanych teraz na Czechosłowacji, nikt nie uczynił nabytku tak małego, jak Polska, nikt nie uczynił ustępstw z obowiązującej zasady etnograficznej, nikt też, prócz Polski, nie uczynił takiego ustępstwa z terytorium narodowego i to jego części tak cennej, tak narodowi potrzebnej.

*) Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego z lat 1919—20; praca zbior. „Spisz, Orawa i okr. Czadecki”, Kraków 1919; wyd. Komitetu Nar. obrony Spisza, Orawy, Czadeckiego i Podhala; literaturę dawniejszą podaje E. Kołodziejczyk „Polacy na Górnych Węgrzech”, Świat Słowiański 1910 i osobno.

R. Zawiliński, „Z kresów polszczyzny”.

M. Orłowicz, „Ilustr. przewodnik. po Spiszu, Orawie...” etc. Lwów 1921.



TERENY POLSKIE W CZADECKIM, NA SPISZU I ORAWIE.

(Mapka w/g „Kur. Warsz.”)

Obszar kratkowany — przyłączony do Polski 1. XI 1938, kreskowany — zestawiono w posiadaniu Czechosłowacji.

Por. „Spisz, Orawa i Okręg Czadecki”, Kraków 1919, oraz mapa Bopitka i Golachowskiego „Polskie kresy zach. - południowe”, Kraków 1919.

nie przyłączone do Polski trzy wioski wraz z koleją, łączącą Żywieckie z Cieszyńskiem Reszta, wraz z węzłem kolejowym w Czacy, wraz z osnawianymi ten narozni Polski górami, została przy Czechosłowacji.

KOTLINA ŻYWIECKA, łącząca Śląsk z Podhalem, kraina cenna*) i twórcza, w dalszym ciągu ma pozostać cyplem, tkwiącym w terytorium obcego państwa, ściśniętym obcą granicą, która izoluje przeludnioną Żywiecczynę od terenów przez nią niegdyś kolonizowanych, tworzących jej dopełnienie geograficzne, od Czadeckiego i Orawy.

OKOLICE TATR zostały skutkiem zabiorów dawniej węgierskich, teraz czeskich ściśnięte dwiema zatokami, głęboko wcinającymi się w terytorium Polski i redukującymi polski dostęp do Tatr do rozmiarów wąskiego korytarza Nowotarskiego. Krainy te, polskie etnicznie, stanowiące naturalne pogranicze ziemi krakowskiej, to Spisz i Orawa.

ORAWA stanowi przedłużenie na zachód naszego Podhala, zamkniętą od północy łukiem Bieskidów (z Babią Górą i Falskiem), od południa Tatrami Zachodnimi i Magorą Orawską. Wedle świadectwa uczonych czeskich, należało uważać za polskie 23 wsie górskie, rozciągnięte półkolem od doliny Chochołowskiej w Tatrach popod Babią Górę aż po

*) Por. czasopismo „Gronie”, poświęcone Żywiecczyźnie, oraz „Bibliotekę Żywiecką” — wydawane w Żywcu.

zatarło polskiego charakteru kraju. Czescy i słowaccy uczeni naliczyli tu przeszło 50 wsi polskich, obejmujących zwarty obszar niemieckie miasta w dolinie Popradu; miasta te były w posiadaniu Polski aż do I rozbioru; przyłączone w w. 18-m do Górnych Węgier, wraz z niemi dostały się w posiadanie Czech. Z kilkudziesięciu miejscowości, które mogły i powinny były wejść w skład Polski, przyznano nam w r. 1920 tylko 14 wiosek, położonych w zagłębieniu Dunajca, koło N. Targu. Obecnie dyplomacja polska uzyskała dolinę Jaworzyny w Tatrach Wysokich, zawierającą jedną wioskę i piękny teren turystyczny, nie rozwiązujący jednak należycie naszego dostępu do Tatr.

TATRY!... TATRY!... Majestatyczny świat skalny, odkryty przez Staszica, zbadany przez Chałubińskiego i Witkiewicza, opiewany przez Goszczyńskiego i Tetmajera, stał się dla nizinnego, wydziedziczonego z morza i gór narodu, najpiękniejszą i najdroższą częścią ojczyzny, „ohtarzem wolności”, źródłem natchnień, czynnikiem odrodzenia narodowego. Były uzdrowiskiem dla chorych, szkołą dzielności dla zdrowych, skarbnicą podnień twórczych dla twórców. Uwielbiliśmy w nich nie tylko wspaniałe zjawisko, ale i siedlisko ludu górskiego, który wzbogacił życie duchowe Polski drogocennymi pierwiastkami i stał się amulowanym środowiskiem ludzi w narodzie najprzedniejszych. Na przełomie z wieku XIX na XX, w

W młodych oczach.

KOLUMNA POEZJI I SZTUKI

MŁODEGO WILNA.

Red. J. Czerni.

Nr. 2.

RENICZ ZIEMOMYSŁ.

M A R I E L L A

Z dziwnym uczuciem zasiadam do pisania o tej premierze. Trzeba podać sucho, że to czteroaktowa sztuka młodej angielskiej autorki Keith Winter, przekład Heleny Myslakowskiej, że twór ten cieszył się popularnością scen europejskich, że w samym Londynie nie schodził z desek przez szereg miesięcy, że grali... reżyserował..., że każdy szanujący się obywatel powinien to obejrzeć, a przy tym nabyć za 30 gr. drugi numer mies. „Comoedia”, że to... że tamto... w nieskończoność. Przepraszam. Drogi czytelniku, nie mam zamiaru pisać takiej recenzji. Te myśli, jakie tu rzuciłem są przez nikogo zamówione czy opłacone. Wyrażam je z wewnętrznej potrzeby. Za bilet płaciłem jak każdy „szary człowiek”. Dlatego radzę każdemu obecnie szanującemu się obywatelowi dobrze zastanowić się zanim pójdzie do teatru.

Cóż tam zobaczy? — Miłość. Ha! Temat już ultra-biblijny, zaprawiony zwykle na scenie pieprzykiem rewiewo-stylizowanej pikanterii lub posypany słodko-mdlącym sentymentem i egzaltacją. Cóż można z tego jeszcze wydobyć? — komu nasuną się takie pytania czy wątpliwości, choćby mimo woli — ten lepiej zrobi, jeżeli nie kupi biletu, bo i po co się fatygować? — Po to, żeby powiększać swój cynizm. Nie warto! Filiżanka przy wtórze jazz'u — to bardziej przyjemna węgotacja, chciałem napisać — spędzenie czasu.

Tyle, co do wstępu.

Treść sztuki Keith Winter jest bardzo prosta. Młode małżeństwo Judytki i Dawid Linden'owie goszczą u siebie w majątku brata Dawida — Henryka i jego żonę Mariellę. Napozór niby nic wielkiego. Dawid, oczarowany towarzyszką brata — traci dla niej głowę i zapomina o wszystkim. Henryk niczego nie widzi — jak każdy zakochany (48 lat!). Jedyne zgrzytliwa Hanna instynktownie okazuje Marielli, nowemu przybyszowi, swoje staropanienskie humory. Żona Henryka koncentruje po cichu uwagę całego domu. Nawet dwudziestoletni Micki — brat Dawida „bują się” młodzieńczo w Marielli, otrzymując stylową odprawę i burzę nagle zjawiającego się brata. Hałas nieustanny braci i Hanni milknie jednak przed skrytą tragedią Judytki. Ona jest tym niedostrzegalnym, drugoplanowym ale najczulszym barometrem, na którym wyraźnie zarysowują się wszelkie zmiany. Cicha, spokojna, kochająca poprzez własne nieszczęście, poprzez ból swego serca, jedyna, bezradna i bezbronna wobec wypadków, wyciskająca lzy swym istnieniem.

Trzeba jednak wybierać, decydować — coś zmienić w tej milczeniu napiętej atmosferze.

Biedna Judytki wyjaśnia Marielli w rozmowie, że jest niepotrzebna, że musi ustąpić przed ich szczęściem, że oni są „stworzeni dla siebie”. Zresztą odjazd Marielli nie odmieni Dawida. Tak kończy się cicha a pełna bólu rozmowa rywalek. Judytki usuwa się

z drogi — szukając spokoju w tragicznej, umyslniej śmierci w czasie pożaru. Mariella postanawia opuścić dwór Dawida. Niestety — Henryk nie zgadza się, widzi w tym kaprys, nie domyśla się, nie dostrzega prawdy, przecenia zresztą swe siły. Mariella kocha nadal Dawida. Ratuje go przed samobójczą śmiercią i postanawia dalej z nim dzielić wspólny, tak tragicznie okupiony los.

Intencje śmiertelnej ofiary Judytki przyniosły owoc, zjednoczyły w ostatniej chwili — Mariellę i Dawida. Ale co dalej? — Jakże wygląda ta miłość, kryjąca za sobą fatalne preludium? — Autorka milczy. Widz musi sam sobie znaleźć odpowiedź... motywację i usprawiedliwienie... Czy znajdzie to inna rzecz. Nie wiem, czy ten artykuł wiele wyrazi. Nie silę się na oddanie tego, co przeżywałem w teatrze. Nie mamy jeszcze takiego szacunku do słowa — aby zaraz uwierzyć. Nie robię odkrycia nowej prawdy. Przeciwnie. Fiszę o tym tylko, z czym wyszedłem z gmachu na Pohulance.

Cóż mogła dać „Mariella”? — Przez cztery akty widzimy ten sam pokój, akcji konkretnie dającej się „uchwycić” brak. Tak, może to i nie porywa nikogo. Ale to nie wszystko.

Podstawa sztuki to płaszczyzna uczucia, rozwiniętego i walczącego z logiką świadomości z jednej strony, a z drugiej — to wielkie wyrzeczenie się dla dobra ukochanego, wyrzeczenie się, zaparcie się własnej bezradności i beśpity przez bezgraniczne poświęcenie, to — walka ze sobą, walka kończąca się śmiercią. I to jest wielkie. Prawo komplikacji — sens życia, ukryty w naszym sercu — wieczny zawód, niebawoma altruizm i obok wieczne budowanie swego szczęścia kosztem drugich. Nie jest obojętne, że sztuka ta ukazała się w tych latach. Jest to jeden z objawów, że powracamy do siebie, że w sobie pragniemy poruszyć pewne struny przeżyć i w sobie je rozwiązać, że poprzez pozorny przypadek i zewnętrzną konstrukcję logiki naszego życia — dostrzegamy coś, co jest ponad tym, co, co jest nielogiczne, niewytłumaczalne a jednak wielkie, wzniosłe, silne i żywe. Ta monotonia pokoju nie jest sprawą poglądu. W niej tkwią stare wady — stare prawdy — w niej zamierają idee szarego człowieka, który nigdy zbyt mocno nie cierpiał ani kochał, który nigdy nie był sobą. Był za bardzo szarym.

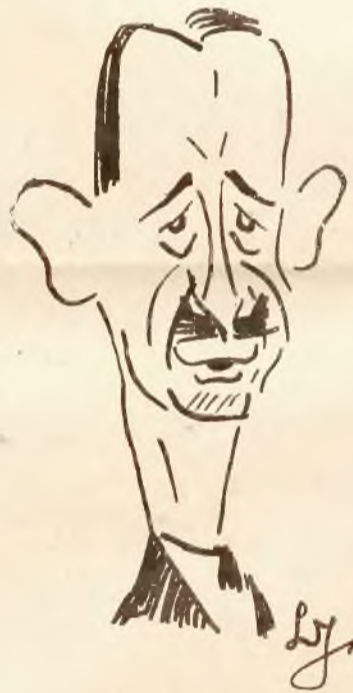
O grze artystów powiem mało, gdyż wielkość prawdy, ukrytej w sztuce, jaką z siebie dali — tłumaczy wszystkich rzetelnym wysiłkiem i pracą. Szczególnie wyróżniła się p. Halina Łęcka w trudnej roli Judytki. Rolę tę — tak mało sugestywną napozór i nieatrakcyjną oddała artystka naprawdę szczerze i głęboko, bezsprzecznie wysuwając się na czoło zespołu. Wł. Surzynski jako Dawid Linden stworzył indywidualną i bogatą postać. Scena z Hanną Linden należała niewątpliwie do jednej z najlepszych. Pani Walentyna Aleksandrowicz w roli Marielli —

oddawała swój tragizm tak, że czasem — przytłaczał, ale czasem — czuć było pozę (tę — „z angielska”). Może źle sędzę.

W każdym wypadku najważniejszym jest to, że sztuka potrafiła nie tylko zainteresować publiczność ale i wywołała dłuższe rozmowy, znalazła oddźwięk w słuchaczach przez swą dziwną prostotę, lekkość, połączoną z największymi problemami uczucia i śmierci.

Obok „Wyzwolenia” jest to druga pozycja, którą trzeba wyraźnie zapisać na plus dyrekcji i szczerze podziękować nie za miłe spędzenie wieczoru, ale za wydobycie na jaw głębokiej treści nie tylko myśli ale i serca. Inna rzecz, że ktoś tej treści może nie widzieć... może nie chceć...

Renicz Ziemomysł.



KOSCHMIEDER ERWIN
prof. U. S. B. i czynny członek Klubu
Muzycznego w Wilnie.

Wydawnictwa

„Comoedia”, listopad. Nr. 2.

Mamy już drugi numer wileńskiego miesięcznika, poświęconego sprawom kultury i sztuki. Mile uderza nas pierwsza strona, zawierająca fotografię rodzajową ze Śląska (notabene już dosyć znana) obok pięknego w swej prostocie wiersza poety zaolzańskiego Pawła Kubisza. Wiersz ten, tchnący istotnym autentyzmem, wyraża ideę, która niedawno stała się radosną rzeczywistością. Poza tym numer zawiera wspomnienie o M. Zdziechowskim, „Artyzm i estetycyzm” P. Śledzińskiego, żywy i ciekawy artykuł p. H. Turkskiej „O uczuciu, rodzaju, Naroczu i Wili”. Najciekawszym dla nas jest „comoediowy” debiut Józefa Maślińskiego pt. „Dorzynki literackie”. Daje w nim autor szkic letniej kampanii Miłosa.

Niestety ten skromny artykuł poza zwiewnym poruszeniem wielu naraz spraw: zagadnień i obozów literackich — nie charakteryzuje jeszcze samego miesięcznika jako ogniska poetyckiego. Czyżby p. Maśliński zamierzał umieszczać tylko eklektyczne pogawarki o dalekich „geograficznie” walkach?

Czyż nie można mieć większych ambicji? Sądźmy że „Comoedia” mogłaby stać się pewną pozycją w dziedzinie poezji. Trzeba tylko wywrzeć poza siebie. Cieszy nas takie zdanie: — „To widać, że bez mitu długo nie podychamy. Rzecz w tem żeby się go dopracować, a nie — doigrać...” Święta prawda. Może „Comoedia” rzuci załazki mitu? Ale na to trzeba mieć temperament i tych, co tego mitu chcą. Samotność i fajka do tego chyba nie wystarczą. —

Wiersz T. Bujnickiego „Romantyczność” — świadczy jedynie o dobrym humorze autora. Pogaduszki J. Huszczy są ciekawe Reasumując — personalnie i biegunowo — jest to dotychczas — „Kolumna literacka” na ulicy Tatarskiej 22.

Tadeusz Jaszowski.

Listopad

*W twarz nam wieją szare listopady,
Od lat jednakże, zwykle,
W Łazienkach już liście opadły,
Oddawna śpi Nike.*

*A kiedyś jednak było tu inaczej,
— Błyski bagnetów gasiły się w stawie,
Cień żłowrózobny chwiał się nad pałacem
I gwaro było w Warszawie.*

*Wiały drzewa poszumem ostrzeżeń
Gdy dołem skradały się kroki...
W noc listopadową wartę w Belwederze
Obejmuje porucznik wysocki.*

*I cisza... Jeny na piersiach Prozerpiny
Drzy szkarłatna róża bez kolców...
Siew w ziemię idzie...krwawem ziarnem w glinę.
Płomienny siew—jak pożar na Solcu.*

*Wtedy ciszę pioruny rozdarły
Na rogach ulic tłum czarny się zbił.
—OTO DZIŚ DZIEŃ KRWI I CHWAŁY
OBY DNIEM WSKRZESZENIA BYŁ.*

*—Dziś przechodzi ten sam listopad,
Nudny przechodzień, beznadziejnie szary.
Wicher powiewa liściem co z drzew opadł...
A kiedyś... Był listopad spowity w sztandary.*

SYGNALIZUJEMY

Na półkach księgarskich ukazały się nowe tomiki poezji:

1. Julian Przyboś: „Równanie serca”. Hoesick Warszawa 1938, str. 113+4 nlb, cena 5 zł.
2. Andrzej Sieczkowski: „Niebo przez liście”. Hoesick, W-wa 1938, cena 4 zł
3. Helena Platta: „Księżycowy Lublin”. Hoesick, W-wa 1938, cena 2 zł.
4. Stanisław Ton: „Szary człowiek” W-wa 1938. Hoesick, str. 23+3 nlb — 1,50 zł
5. Anna Turkowska: „U kresu”. Kraków 1938, str. 85+3 nlb — 1,30 zł.
6. Antoni Madej: „Drzewo figowe” W-wa 1938. Biblioteka Zet, str. 63+1 nlb — 3 zł.

(Dalszy ciąg kolumny na str. 5)

Od Redakcji w „Młodych Oczach”

Cieszymy się, że kolumna nasza zdołała wywołać pewien oddźwięk. Pracujemy bezinteresownie bez żadnych ubocznych celów. Prosimy poszczególne Wydawnictwa o zwięzłe wzmianki i krytyczne uwagi. Pojmując obowiązki wydawnicze poważnie — nada! będziemy wysyłać numery i zamieszczać recenzje bez względu na to, czy pewne czasopisma będą nam przysyłać swoje egzemplarze czy nie. Kto nas zrozumie — ułatwi nam pracę. Stawiamy sobie wielkie cele. Kto widzi do nich krótszą i skuteczniejszą drogę — przyjdzie i pokaże ją. Im więcej znajdziemy takich, co przełamają w sobie pewne uprzedzenia — tym bardziej kolumna może rozszerzyć się i stać się trybuną, wyrażającą nowe potrzeby artystyczne.

Do wytkniętego celu będziemy dążyć wytrwale nie w tej to w innej formie. Obojętność czy milczenie będą tylko większą dla nas podniętą. Nie chcemy jednak zamykać się w ciasnym kółku. Pragniemy walczyć i dojrzewać wspólnie, tworząc sobą żywą treść nurtującego w nas jutra.

Wszelkie przesyłki i wydawnictwa nadsyłać pod adresem: kol. red. Józef Czerni (Wilno, ul. Bouffałowa Góra 4).

Antoni Maśliński.

Serce i heksametr

*Wrzosa grają pszczołami w zdrewniałem oczekiwaniu.
Drga liliowe powietrze kąpiąc ziemię rozgrzaną.
Gdy cienie drzące
oczy mrużą
a zapach faluje
i szczyty rosen
chwijące kołysz —
duszę roztopia płonące słońce
z koników sykaniem w niebo tuląc.
Nie obłok wiejący rosą, lecz Pański z Apokalipsy
Iśnieniem obramowaną pieści majestat słońca grzywą strzępiastą.
Jehowa na słupie obłoku—Twórca jak w dniu chaosu
—Tu ziemia dysząca rozkoszą, owadów brzęczeniem nagrana—
pośrodku serce człowieka.. za małe dla Bezmiaru
—a miara je gniece, a tęsknota dławi...*

JAN PANASEWICZ.

PŁONA ŁUCZYWA

Po złotych dniach wrześniowych, po dżdżystym październiku, przychodzi na świat głucha, głęboka jesień — listopad.

Z szarych świtów wstają cichutko pochmurne dni, wstają na krótko jeden po drugim i niedostrzegalnie rozpluwają się, układają się do snu w długich i ciemnych nocach.

Każdego ranka rybak wychodzi z chaty nadrzeźnej i w czarnym czółenku płynie ku sieciom, zastawianym z wieczora. Z lodowatej wody wyciąga bucze i rozłożyste „miroże”, zaniesione przez noc zbutwialem liśćmi, wśród których czółga się śliski i czarny miętus. Nie wyjeżdża już na łowy z „widejką” ani z „małata”, bo woda ciemna od traw gnijących i niedługo czekać, a łódki trzeba będzie wyciągać na brzegi, gdyż ukażą się szleszczące talerzyki krw.

Całymi teraz dniami młocka łopocze po gumnach, roboty polne już zakończone, żyto zasiane, kartofle zebrane i zakopcowane, ziarno pryska gradem spod cepów; nie za zimno, więc można młócić w koszulach: no i nie za gorąco, aby w jednej koszuli odpoczywać za długo bez rozgrzewki. Wychodzą do stodoł jeszcze przy lampie, o piątej, i młóćką pilnie do ósmej, aby na śniadanie zarobić, a potem idą do chaty, siadają przy misach dymiących i jedzą bliny gryczane z „pomaczką” ze słoniny a i dobre słowo gospodyni też dużo znaczy niby najlepsza „pomaczka”

Po śniadaniu znowu do roboty. Nudno

(c. d. kolumny „W młodych oczach” ze str. 4)

Nowości poetyckie

Anna Nieławicka „Definicje”, Wilno 1938. Biblioteka Kameny Nr. 14, str. 29+3 nbl.

Jest to zdaje się ostatnia nowość terenu wileńskiego. Poezja „Definicji” stwarza dziwną atmosferę. Podczas gdy na pierwsze tomiki — „Ametystowy dzień” i „Patrzę w jesień” — można było patrzeć okiem krytyka — tu trzeba, albo złać pióro, albo podziwiać sztukę poetycką autorki, a dając się nad jej treścią. Takie wypadki zdarzały się w Wilnie.

„Definicje” — to autentyczna poezja. Inna rzecz — jaki autentyzm, patrząc nań z daleka, w perspektywie, uwolniony się od sugestii artystycznych.

Czytając, czujemy puls życia w tych słowach, zakwitłych na nielicznych stronicach. Treść narzuca refleksja i swoboda cudownej formy. K. Zawodziński nazwałby to może lirycyzmem i gadulstwem. Wszystkie bowiem utwory są styliczne, nie zorganizowane stroficznie.

Mają za to wyraźny w sobie rytm. Rymy są jednym prostym śpiewem, czuje się, że inaczej być nie może. Niektóre wiersze są doprowadzone do wysokiego arcyzmu. „Fragment z poematu „Wyprawy” — swoją wizją — zasięgiem skojarzeń — wprost przytłacza jak og. om krwawej historii. „Definicje” — to jakieś zaśpiewanie, natomiast „Hymn” — odsłania nam w tym spokoju — pewną postawę — wyznanie — modlitwę. Refleksja własnego buntu, apcteozu rozumu, techniki — rzeczy już przebrzmiałe, ale nie zgadzając się w założeniu, nie możemy odmówić utworowi wartości poetyckiej. Wiersz ten dlatego jest drogi — trzeba go zrozumieć i przeczytać tylko bez uprzedzenia. Wielu przechodzi taki „Hymn”.

Szkoda, że skromny to ilościowo zbiorek, ale tym cenniejszy stanowi on dla autorki na pewno piedestał, na który trzeba było niejednej cichej burzy.

Dynamika myśli i forma wierszy, którą poetka rzuca garściami pełnymi brutalnie na wileński bruk — mają swoją wymowę lokalną. Oznacza to wyzwanie formalnej pruderii i stylizowanym zabawom. Ciekawi jesteśmy, dokąd skieruje się twórczość p. A. Nieławickiej? Czy w kierunku samej liryki, czy też będzie nieodłączna refleksja i odbłaski pewnych myśli społecznych?

Nakład czeka na wyczerpanie Publiczność — jeszcze uprzedzona i zdezorientowana nie rozróżnia poezji od błyskotek i namiastek literackich.

W każdym wypadku — „Definicje” — to pozycja literacka obecnego Wilna, nad którą trzeba się zatrzymać. Cieszymy się z tego szczerze. J. C.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu J. A. Łotwa — Allazmuiza.

Wiersze będą przeczytane. Prawdopodobnie coś zamieścimy. Jeśli pragnie Pan utrzymywać kontakt z kolumną, radzimy zap. enumerować „Sprawy otwarte”. Prenumerata roczna na Łotwę wynosi zaledwie 6 zł 50 gr.

Odpowiedzi listownych udzielamy tylko w razie nadesłania znaczka pocztowego. W każdym wypadku prosimy o nas nie zapominać.

Od Redakcji

„Spraw Otwartych”

W związku z pytaniem, jakie stawiano nam w sprawie kolumny „W młodych oczach” wyjaśniamy, że jest to kolumna samodzielną, redagowaną przez akademików U. S. B.

jest młócić samemu jak wilk, kiwając się nad cepem ze swemi myślami. Weselej już we dwójkę, kiedy się młóci niby w takt polki, z „pomaczką”, a już rozkosz młócić we czworo, pięcioro i więcej na jednym toku! Wówczas to tylko raz cepem się zamachniesz, a gęsty klekot leci po polach niby z młocarni. A jakie walne facecje wówczas się opowiada! Raz po raz wybucha bractwo wesołym rykiem, płaczą się rytmika cepów i walą się ludzie ze śmiechem na słomę jak snopy, aż dziadka Kaźmierz, sam zażawiony od śmiechu wylezie wreszcie ze słomy za brzuch się trzymając, i z udaną złością zacznie „prnu-kać” do roboty, aby po chwili puścić w obieg nową „interesną” historię z niewyczerpanej skarbnicy swej wielowiekowej mądrości. I tak całymi dniami kiwają się nad cepami, przez otwarte wrota gonią wzrokiem świat Boży, głuchy i szary i swoje myśli nieskomplikowane.

Bydło w takie dni późno wychodzi na pastwisko, a że wszystko z pola zebrane, więc nie wlaży, jak latem, do utrapionej „szkody”. Cieszą się teraz ze swobody pastuszkowie, wesoła dzieciarnia pali ogniska, piecze kartofle, łapie w beztróskie piątki zawiesziste dymy i urządza gry i zabawy.

Chodzą krowy po rzadkich i gołych olsniakach, dmuchają nozdrzami na opadłe liście, zakrywające trawę, na nagich gałęziach po widać teraz wyraźnie jasne girlandy chmielu. Kobiety w domach mają, jak zawsze, nawał pracy, bo nie tylko tej codziennej koło parsuików, kur, kaczek i wszelkiej „żywoły” Bożej, lecz także koło przygotowań zimowych. Napychają butelki płynem pomidorowym, wchodzącym na wsi pomału w życie, przebierają jabłka, które na zimę, a które na sprzedaż, suszą całymi pudami grzyby w wiankach albo na patykach, wstawiają dubelty do okien i kładą na mchu między oknami barwne wycinanki z papieru.

Nie wiedzieć nawet kiedy kończy się krótki dzień listopadowy. Z parowów i gąszczów wyłazi mrok. Na trakcie dalekim między białymi brzoziami przewala się wolno po wybojach furmanka, podskakuje na korzeniach, a człowiek w „jermiaku” kiwa się filozoficznie na wiązce siana z boku na bok, trzęsą mu się policzki, a on patrzy przez duży i uszy końskie w siwą dal wieczorną, za którą daleko jeszcze, daleko stoi w ciemności jego chata.

Był na rynku w miasteczku, sprzedał trochę żyta i parsiuła chudego na opas, a teraz wraca do chaty. Nie ciekawa teraz cena — wiadomo — ale co robić, jak inaczej nie wychodzi? Człowiek zaczyna drzeć i widzi w marzeniu jak jego żonka krząta się koło ogromnego pieca, blask czerwony bije na izbę, a na stole ukazuje się dymiąca misa kartofli i talerz ze słoniną albo śmietaną. Oto zajężdża wozem na dziedziniec, chłopaki konia wyprzegają, a on sam idzie do chaty, zdejmując czapkę na progu, mówi: „Pochwalony!” i „hroszy” na stół wyklada.

Nagle wóz zatrzymuje się, człowiek budzi się z okrzykiem: — „Nu, żeb cię wilcy!” i oczy przeciera, bo oto widzi chaty swej wioski, a koń na dziedzinie stoi — sen sprawdza się. „A słowo ciałem się stało” — i człowiek na zgrabiących nogach wyłazi z wozu.

W ostatniej szarzyźnie wieczoru, przez pola ogromne, od dalekiej czarnej wstęgi boru, brnie na tle niebios wieczornych czarny, skulony człowiek. Brnie ku wiosce. Kim jest? Co za jeden? Może to ktoś z wioski? Może któryś z tych rzemieślników wędrownych, co to wiosną, gdy słońce zażrzeje, opasują się piłą, za pas ten zatkną siekiere, skrzynię z heblami w garść ujmą i idą w świat budować domy, ludziom na pożytek, a Bogu na chwa-

łę? A może to jeden z tych „bahadziów” Bożych, o których niewiadomo, gdzie dom, z czego żyją, a żyją?

Idzie sobie czarny skulony człowiek po niebie wieczornem.

Wracają między opłotki ostatnie wozy z lasu, z „koluszkami” i mchem na podściółkę, bydło porykuje w oborach, w stodołach urywa się młocka i słychać jednostajne żucie sieczkarni, pryskającej złotymi iskrami sieczki.

Wreszcie na garbate domostwo i nagie drzewa opuszcza się z niebios czarny i długi wieczór. „Obchodka” gospodarska już zakończona: krowy wydojone, koniom siano zadane, wieprze z nogami w korytach ciapkają smakowicie i ludzie zamykają się po chatach. Tylko czarny niewidzialny staw cędzi przez stawidła wodę i wśród łoży nadwodnej wzdycha przygodny nocny wiaterek.

Przez drewniane ściany obór słychać chrupanie zębów końskich i czasem kury na żerdce pokłócają się między sobą.

W oknach chat zaczynają migotać ogniki. Gospodyni chucha na szkło, podkreca ogień i, wieszając lampę, mówi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Odpowiadają jej wszyscy: „Na wieki wieków amen”. Taki już jest zwyczaj. Zaczyna się długi, długi wieczór, po chatach zbierają się ludzie, każdy ze swoją robotą i wśród „pogaduszek” i rozmów poważnych miło im upływa czas, zanim rozejdą się wszyscy na spoczynek.

Zwyczajnie jednak lampa prędko gaśnie — wiadomo: „karasina” na wsi droga rzecz. Wyciąga tedy chłopak pęk łuczywa z za pieca, pod ścianą zaś stawia „dziada”. Jest to prototyp rzymskiego świecznika w kształcie kijka, przybitego do drewnianej kłódki. Trzyna taki „dziad” w blaszanych zębach piszczące łuczywo, a płomień drgający pelźnie po niem pomału i czerwone węgielki gasną z sykiem w brytowanie z wodą pod jego nogami.

Dokoła „dziada” zbierają się ludzie z robotą, do gwoźdźcia w ścianie siwy dziadek sieć przyczepił i szyje oczka, wymachując żwawo iglicą, burczą kołowrotki i wprawne palce szczypią z łopat wełnę pomału, w kącie łopoczą miarowo krosna. Na dwóch cudacznych symlach, do ściany wetkniętych, gospodni rozmotuje bawełnianą osnowę, za którą to w miasteczku trzeba płacić aż pięć złotych za kilo.

Siedząc na zydlu okradkiem, chłopcy wycinają nożami łuczywa ze strzyżni, a w kącie gospodarz morduje się nad kłosem czeczotki.

Tak pracują dokoła światła wszyscy, przerzucając się od czasu do czasu słowem, a na ścianach cienie ludzkie ogromne pelżają, przedrzeźniając ludzką robotę.

Różne toczą się rozmowy: to o cenach w miasteczku, to o komasacji, albo o polityce, o wojnach „ob japońcach”, „kitajcach”, „Iszpańcach”. Wspominają o synach, co poszli „do wujka” — „złe im tam nie będzie. — świata kawał zobaczą, czytać i pisać nauczą się, na ludzi wyjdą”. To znów o synach, co to w mieście „na techników, na kupców ucza się i „baćkom” potem na starość pomogą.

Jeden tylko dziadka Kaźmierz, którego zniecierpliwiona baba wygnała z chaty, „bo tołku z jego mała, a tylko językiem płaska” — siedzi w milczeniu, lecz wszyscy wiedzą, że język go świerzbi. Więc dziadka Kaźmierz zabiera głos i znowu pokładają się wszyscy ze śmiechu, a on nic, tylko prawi uczenie a ważne z powagą komiczną na twarzy „ob durnym Wucińku co żonki szukał, która nie je ani pije”, „ob durnej Kaśce”, to o żołnierzu — samochwale.

A gdy zacznie opowiadać straszne historie o duchach, czarownicach i djabłach we młynach, najodważniejszym włosy stają dęba

na głowach, kobiety żegnają się pobożnie a dzieci na piecu leżą zlodowaciałe ze strachu i nie śmia spojrzeć do ciemnego kąta, gdzie czort na pajęczych nóżkach może się ukazać, ani też na małe okienko, przez które zagłąda czarna noc i blade georginie, zasłuchane w dziadzkę Kaźmierza.

Nic dziwnego, że wieczór mija jak z bicza trzaśi i strach potem rozchodzić się do domów wśród nocy czarnej. Wszakże słyhać było wyraźnie stapanie czorta Mikikiejki na kozich nóżkach naokoło chaty, a nazajutrz niedowiarkowie znajdują jego paskudne ślady na piasku.

Rozchodzą się ludzie, gasną ogienki w oknach, tylko czarny niewidzialny staw cędzi przez stawidła wodę i wśród łoży wzdycha przygodny nocny wiaterek. Nazajutrz zbudzi się nowy brzask, gospodynie będą znowu zagłądać z łuczywem w zębach do pieca, wstanie bezbarwny dzień i tak znowu od początku do końca.

DWIE MIARY

Jedną z największych sensacji ostatnich dni jest paryski zamach żyda Grynspana, dokonany na osobie sekretarza ambasady niemieckiej. Niemcy odpowiedzieli na to szeregiem represyj, skierowanych przeciwko zamieszkałym w Rzeszy Żydom. Należą do nich kontrybucji, zapowiedziano wprowadzenie nowych ograniczeń i ustaw antysemickich.

I kiedy byle potrącenie niearyjczyka w Polsce wywołuje w całej prasie zagranicznej — przedewszystkiem anglo-saskiej — istny huragan oburzenia i protestów to wobec obecnej sytuacji żydostwa w Niemczech wielkie i sprawiedliwe demokracje zachodu miczą, jakby pomnąc o pięknej zasadzie, że „qui tacet consentire videtur”. Jeśli idzie o kwestię machabejską w naszym kraju to wroga propaganda nie tylko trafia do parlamentu angielskiego i inspirowa tam dzielnego (zdaje się, iż tylko w języku) plk. Wedgwooda, pytającego — okresie procesu mordcy Cnaskielewicz — „czy brytyjski min. spr. zagr. użyje wpływów rządu brytyjskiego dla przedstawienia się tym wzrastającym prześladowaniom”, ale potrafi nawet oszukać stojące nieco dalej od zagadnień polskich koła naszej emigracji. Wszak w okresie walki o odżyźnienie wyższych uczelni w r. 1936/7 czytać można było w prasie polskiej Stanów Zjedn. wzruszające (swą naiwnością) apele do młodzieży akademickiej, by swym postępowaniem nie hańbiła imienia polskiego, tradycji historycznej i t. p. Dlatego też trzeba wciąż pamiętać o tej podwójnej mierze, jakiej używają przeżarte zarazą izraelską „sprawiedliwa” Anglia, „demokratyczne” Stany Zjednoczone, czy „wierna sojuszniczka” Francja i dążyć do zdecydowanego rozwiązania problemu semickiego. Niestety, dotąd stwierdzić tylko można prawdziwość powiedzenia, iż Polska jest „paradisus Iudaeorum”.

Reprezentacja piłkarska Polski zakończyła swój tegoroczny sezon meczem w Dublinie, przegrywając z reprezentacją Irlandii 2:3 (1:2). Ponieważ pan Frank w pogadance radiowej z dn. 13. XI uznał to za wynik doskonały (bo to po 48 godz. podróży, bo to po burzy morskiej, bo to na obcym boisku etc.) przyjmują w pokorze ducha powyższą opinię, ciesząc się, iż Irlandczycy pilnie słuchali transmisji z meczu Norwegia — Polska, gdyż sfaułowali (widocznie był to „faul z potrzeby”) i Madeskiego i Mrugałę.

Józef Gil.

Z ZIEMI WŁOSKIEJ DO POLSKIEJ...

Rok 1918. Przysięga 300 oficerów polskich w obozie St. Maria Capua Vetere we Włoszech.



Dwadzieścia lat mija od chwili gdy oddział Komitetu Narodowego w Rzymie w osobach K. Skirmunta, J. Zamorskiego, M. Loreta i Mikulskiego przy poparciu i pomocy rządu włoskiego przystąpił do organizacji Armji Polskiej we Włoszech. Już w listopadzie

1918 r. jeńców internowanych we Włoszech utworzono trzy pułki im.: Henryka Dąbrowskiego, im. Bartosza Głowackiego i im. Tadeusza Kościuszki, które w miesiąc później wyruszyły do Francji. W ciągu paru następnym miesięcy powstały nowe pułki. Ogółem

Armja Polska we Włoszech liczyła 1.000 oficerów i 37.000 podoficerów i szeregowych. Dzielne wojska wcielone do armji błękitnej gen. Jozefa Hallera, przybyły po ciężkich bojach do Polski, by stać się częścią Wielkiej Armji Odrodzonej Polski.

Świat za szybą...

(Sugestie — ozdoby nasze)

NOWE CZESKOSLOVENSKO

Ostatnie wypadki polityczne zadały Czechosłowacji straszliwy cios.

Zawiodła Francja, zawiodła masoneria, zawiodły Sowiety...

Narod głęboko przeżywa tragizm swego losu. Zanajmuje się autorytet lewicowych stronnictw politycznych.

W samej nawet psychice Czechów następuje przełom.

Od 8 lat istnieje w Czechosłowacji sympatyczny ruch zwany: „Nové Československo” o podłożu narodowym i carscyjanskim.

Organem tego ruchu jest: „Česka Vyzva”, tygodnik, wymowny metryką treścią, ale i białymi plamami cenzury.

Bierzemy do ręki ostatni numer z 19 października b. r. Przysiany do redakcji S. O. „Zaarma”. Przeglądamy artykuły. O Polsce nie piszą. Wspominają rządowi Benesza, że uwaga sowieckim wpływom, że nie przyjął warunków Niemca w swoim czasie.

„Słowacji dostała się konieczna autonomia!”

Dalej? Biała plama. Ale w innym miejscu „serdecne białozębie!” premierowi słowackiemu drowi Lisie. Stosunek jasny...

Artykuł: „Kto będzie prezydentem?”

Ciekawe! Kogożby między narodowcy czeszy wysuwali na to stanowisko?

— Karola Schwarzenberga!

Następuje historia tego książęcego rodu, który do Czech przybył w 1000 r., a przez trzy stulecia wydał cały szereg dowódców wojskowych, prawników, myślicieli, dyptomatów, mężów stanu. Stworzyli oni w historii narodu czeskiego jasną kartę.

Najbardziej interesującym jest artykuł wstępny p. t.: „Zauważcie nam! Mamy jasny program gospodarczy, socjalny i polityczny”.

Czegoż żądają wodzowie „Nowego Czechosłowacka”?

Obszernie o tem mówi książka D-ra Jil-

ka p. t.: „Hospodarskij a socjalni rad Novego Československa”.

Program ich żąda rozwiązania wszystkich politycznych stronnictw, ścisłej współpracy ze Słowakami, radykalnego rozwiązania kwestji żydowskiej, oddania rządu w ręce narodowców.

„Mamy dość sił! — wołają oni. — Mamy wodzów! Nie jesteśmy bezradni! Zbliża się chwila, kiedy naród nas zawoła, abyśmy wspoił ze Słowakami wyprowadzili kraj z jego dzisiejszej gospodarczej i politycznej nędzy i skutecznie idee silnego, narodowego państwa — Nowej Czechosłowacji. A hasłem naszym jest Bóg, Władza i Naród!”

Młodych czeskich narodowców cechuje realizm polityczny. Przykładem niech służy forsowana przez nich myśl nadania Niemcom sudeckim autonomji jeszcze przed katastrofą polityczną Czech.

Może ten sam realizm skieruje ich sympatje w stronę roiski, jeśli ocenią w porę znaczenie hegemonji Niemiec nad ich krajem.

Czesi — to przecież nasi wczorajsi wrogowie.

ZMIENIAJĄ OBYWATELSTWO

Bronisław (?) Huberman, znany żydowski skrzypek, mieszka obecnie w Londynie i stanął w wysła pieniądze do Palestyny.

Huberman finansuje żydowską orkiestrę symfoniczną w Tell-Awiewie. Jest to najzupełniej zrozumiałe. Żyd popiera Żyda!

Dlaczego natomiast znakomity pianista polski (?) Artur Kubiszta, wstawiony patriotycznym (?) zwróceniem ośrodków wiojskich przyjął ostatnio obywatelstwo francuskie? Czyżby oznaczało to ucieczkę pierwszego szczura z tonącego okrętu?

Czekamy na dalsze ucieczki! Apelujemy do żydowskiego sumienia pp. Grzegorzów i Jerzych Fitebergów i Fausmannów, ażeby ca przedzej wystarli się o obywatelstwa irańskie, angielskie czy madagaskarskie!...

„WOJNA KOBIET”

„Kurier Polski” przynosi echa wyborcze ze Śląska, a mianowicie opisuje „wojnę kobiet”.

„Na przedwyborczym wiecu kobiet w Chorzowie — czytamy — kandydatka do Sejmu, „ozoniarka” pani dr. Kujawska, zagrzewała kobiety, aby na nią tłumnie głosowały, bo „tkie jest życzenie władz wojewódzkich”.

„Z ciężkimi zarzutami i w ostrej formie wystąpiła na wiecu przeciw p. Kujawskiej znana na Śląsku działaczka „sanacyjna”, p. Niepokojczycka.

„Pod wrażeniem tych słów p. dr. Kujawska zemdłała. Na sali powstał nieprawdopodobny harmider i tumult, w rezultacie którego zemdłała p. Niepokojczycka.

„Niewiadomo naturalnie, czy to zemdle nie było rzeczywiste, czy też „robione”, bo o to w świecie niewieścim jest przecież nie trudno”.

Wojna dwu „sanatorek” przy akompaniamencie spazmów i zemdlen, to wesoły przybytek do niewesołej sprawy.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

JWPan K. S-ski (Bydgoszcz) Interesujący artykuł Pański narazie zatrzymujemy w tece. Stokrotne dzięki za pamęt.

JWPan Piotr Łastówka (Warszawa). Niestety, drukować nie będzie my. A może ma Pan coś innego? Maszynopis odeszliśmy po otrzymaniu znaczka pocztowego z 25 gr.

JWPan Prof. Aleksander Pańkowski (Warszawa). Wskazany numer wysłaliśmy. Najmocniej przepraszamy za spóźnienie.

JWPani Halina Galska (Wiino). Prosimy o szybkie skomunikowanie się z nami.

FRASZKI

NA PARCHNAS

Anatol Stern, brat Grostern, Sten i semi-goj Boy i Natan Szwalbe, Benzel, i Benio Hertz, i Benni, dyrektor Czaban i prof. Halban, ditto Balaban, ditto Hahn, Etkin, i Brzechwa - Szeszeń - Lesz i Arnold Szyf =, i Handelsman, Cyps, Gryps, Ips, Hemar -H-szeles, i Urko z córka, Olgierd Górka, on, o stopiewny Tuwim, Witlin - piastunioch gadzib, i Ferdydurke, i Turkow, Jotes z PAfa, Fryd, Lin, Liński i Gliński, Czyński, z Mortkowiczów Hanka, Katelbach, Kuna i Flach, rebo Scnorr, Pasternak, Zak i Appenzlak, Fajans, Gutnajer, Majer, Bajer, Babinicz - Kmicic - Harten - Szpigel, Norden - Migówna, Zółtko, Ajer = wajs, Wojciech Weiss, Reirs, Rognis - Singer, Wyzel, Karaita - Kreuterkraft, panna Filozof, Wassercug - Wassowski, Waks, Wars, Włast i Akst, Cielenta, Zajdenbojtów dwóch, cztery Grynoorgi, Brumer, Bramer, Merwin i także Manzes, Menkel, Rubinraut, Szmaragd, Topass, Diamant, skrzynka radiowa - Wacław Frenkiel, i Rubel, Bel vel Belski Ganc, Walfach a Muszał, Lau a Znicz, Węgierko, Birnbaum, Pomeranc, chronik Antoni, Boski Grydz, Fogel, Kanarek, Pomper, Ruchla Ruzszyc mec. Beylin, Pedro Regro, Wrzos...!

A — bodaj ci nóżka spuchła, — jakby powiedział stary Fredro.

(„Jutro pracy” Janusz Kawecki).

Prenumerujcie
„Sprawy Otwarte”

ECHA RADIOWE

„SREBRNE LICHTARZE”

Nowe słuchowisko „Szekspira dla maluczkich” Szaniawskiego.

Szaniawski jest człowiekiem radia. Jak mało kto — rozumie jego wyjątkowość, tajemnicę i zna sposoby wzruszenia słuchacza. Autor „Srebrnych lichtarzy” pod maską prostoty i realizmu przemycił „dyszające” głębokim realizmem idee. Nastroje, wzruszenia i poetyckie obrazy! Czarnodziej radiowych wizyj, odkrywca nowych szczytów!

Bogaterowie Szaniawskiego — to ludzie z krwi i kości, ludzie codzienni (z wyjątkiem doktora Iana!), którzy uderzają nas swoją prawdą. A jednak — wszyscy oni są jacyś dziwni, przedziwne dobrzy (i znów wyjątek Irena!) i sentymentalni!

Szaniawski, jako poeta-dramaturg, nie może ustrzec się od swych nieuchwytnych mgiełek, którymi przesyca wszystkie swoje utwory!

Kult sentymentu (szlacheckiego zresztą!) sprawia, iż konstrukcja całości nieco szwankowała. Myślę o zakończeniu, którego właściwie nie było.

Jeden liryczny okrzyk Janka — inteligentnego Hamleta małego miasteczka kończy raptownie rzecz. Słuchacz jeszcze się nie przygotowa-

wał, jeszcze nie przetrwał zasłyszanego ciągu wydarzeń, gdy nagle speaker urzędowo wycedził: „nadałmy słuchowisko Jerzego Szaniawskiego „Srebrne lichtarze”. Udział wzięli...”

Otoż to. Udział wzięli!...

Wysocka i Jaracz dali wspaniałe próbki swego talentu. Wójtecki jako Janek — bardzo żywy i bezpośredni.

Antykwarisz w ujęciu Kondrata wypadł plastycznie i interesująco. (Cokolwiek może za młody głos!).

Piaskowska obdarzona jest czystym melodyjnym głosem.

Wamp małomiasteczkowy — wcale, wcale! Jedyne zastrzeżenie: oschłość nieco przesadzona!

Folklor Wileńszczyzny stanowi niewyczerpaną kopalnię, zadziwiających nieraz starożytnością, motywów.

Ostatnio mówił o tym przed mikrofonem wileńskim Adolf Olechnowicz „Tutejsze zabobony”.

Felieton w sposób przejrzyście odsłonił rąbka tajemnic i praktyk starożytnych, poczynił bab wiejskich, b. licznych, powadło podał jedną z legend znanej na pograniczu polskoliteńskim.

Autor felietonu na zakończenie wyraził pragnienie ażeby nowy jakiś Tetmajer wszystkie legendy, gawę-

dy i przysłowia ziem wileńskich artystycznie przetworzył.

AUDYCJE SZWEDZKIE O CHARAKTERZE POLITYCZNYM

W związku z wyborami do parlamentu szwedzkiego, które odbyły się we wrześniu r. b., tow. Radiotjänst zorganizowało szereg pogadek politycznych, wygłoszonych przez przewodców najważniejszych partji politycznych. Na kilka dni przed wyborami nadano ze studia w Sztokholmie wielką dyskusję między członkami różnych partji. Ponadto w dniu wyborów, tj. 18 września, zakomunikowano słuchaczom w specjalnej audycji wyniki głosowania. Audycja ta trwała do godz. 4 rano.

JESZCZE O MARSJANACH

Angielskie tow. radiofoniczne BBC pragnie zakupić sławne już dziś słuchowisko, którego nadanie przez tow. Columbia Broadcasting System wywołało w ub. miesiącu panikę w Stanach Zedn. Angielskie radio ma zamiar zapowiedzieć swoim słuchaczom tę audycję w taki sposób, aby wykluczyć możliwość nieporozumień. Cała ta sprawa przyniesie niewątpliwie poważne korzyści autorowi słuchowiska.

NOWOŚCI NA ROK 1939

Wszystkich zachwyci!
piękna linia
wspaniałe dźwięki
dokładny czas
w odbiorniku

VERTEX
IAN SAŁASINSKI
WILNO, UL. WILEŃSKA 23, TEL. 19-01

FUTRA WŁODZIMIERZ PIKIEL

WILNO, WIELKA 7

NA MUNDURKI SZKOLNE
Na płaszcze i kostjomy
materiały dobrane z 25 fabryk
Konwencji Bielskiej

Marne święta bez Krupnika!
KRUPNIK bez gotowania i filtrowania sporządzisz przy pomocy zaprawy ziołowo-korzennej. Flakon 1 zł. wystarcza na 1-3 l. wódki.
POLECA SKŁAD APTECZNY Władysława Trubilly
Ludwisarska (róg Tatarskiej).
Tamże wody kolońskie na wagę.
78 przecudnych zapachów.

JEŻELI KUPIĆ:

Radio (Elektrik, Capello, Radio-Union)
Samochód (Steyr, nowy model)
Rower (Michał Girda, Janus, i inne)
Maszynę do pisania („Urania”)

To tylko w firmie **MICHAŁ GIRDA** Mickiewicza 7, tel. 16-28.

Ceny ogłoszeń: Za miejsce wysokości 1 m/m i szerokości 1 łamu w tekście 70 gr., za tekstem — 50 gr. Prenumerata roczna 4 zł., półroczna 2 zł. kwartalna 1 zł.

Adres Redakcji i Administracji: Wilno, ul. Jagiellońska 6 m. 19.

Redakcja i Administracja czynne we wtorki i piątki, od godz. 18 do 19.